

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

26

Z werandy szerokiej był rozległy widok na dolinę, przez którą przebiegała kolej, na fabryki i miasteczko, a na prawo i lewo wznosiły się lesiste i uprawne wzgórza. Tuż za domem niemal szumiał las, a wiatr przynosił zapachy pól i oddech żywiczny jodeł i świerków.

Inspektor stał przez chwilę, rozkoszując się malowniczym widokiem, gdyż od czasu zakochania się w Jance, uśpiona przez biurokracizm wrażliwość na piękno, poezję, na życie, rozbudziła się w nim z niezwykłą siłą i świeżością.

— Gdyby tak z nią tu zamieszkać — zamajaczyło mu w myślach — zdala od kolei, ludzi... podziwiać wschody i zachody słońca, słuchać muzyki lasu, patrzeć w gwiaździste niebo i czuć ją blisko siebie, tę ukochaną, uwielbianą. Otoczyć ją troskliwością, usunąć wszystkie utrapienia i przykrości i widzieć ją zawsze rozpromienioną szczęściem i radością... Gdyby...

Przerwał te marzenia głos faktora:

— Panie inspektorze, czy pan bierze ten dom, czy tamten?

Przez chwilę zastanowił się i rzekł:

— Biorę jeden i drugi.

— Na co panu aż dwa?

— To moja rzecz — i zaszedłszy do gospodyni, ułożył się co do ceny, potrzebnych mebli i zobowiązał ją, ażeby jutro opuściła dom.

Następnie pojechał do fabryki, wynajął domek w lesie, zabrał klucze i wynajawszy powóz, pojechał do Janki. Pojechali oboje, ażeby i ona mogła obejrzeć najęte mieszkanie. Domek w lesie podobał się jej nadzwyczajnie, zachwycił ją szeroki widnokrąg, szum sąsiedniego lasu, widok kwietnej łąki, szmer pobliskiego źródła, obok którego przepływał jasny potok górski. Na samo mieszkanie mało zwracała uwagi i obejrzawszy pobieżnie mówiła rozradowana:

— Tu sprowadzę mamę i siostry i będzie mi jak w raju... Jaki pan dobry, że wyszukał taki cudowny, cichy zakątek leśny — a mówiąc to, spojrzała mu w oczy ze szczerą wdzięcznością.

— Byłbym zapomnieli o liście, gdyby nie wzmianka o matce — równocześnie poszukał w kieszeni i podając list, dodał: — dziś na dworcu oddano mi dla pani.

Otworzyła i szybko odczytała. Zarumieniona spojrzała na niego, gdyż w liście donosiła matka, że dostała z dyrekcji roczną zapomogę na kształcenie dzieci i jednorazowy zasiłek. Janka domyśliła się, że Lerche przyczynił się do tego i bez wyjaśnień podała mu rękę, mówiąc:

— Dziękuję... w imieniu mamy.

Uściskała podaną rękę i mówił swobodnym głosem, rozpogodzony i uszczęśliwiony jej uśmiechem zadowolenia:

— Potrzebne bilety dla rodziny pani będą gotowe, niech mama się zgłosi... a od jutra może pani tu zamieszkać, oto klucze...

— Ile jednak kosztuje wynajęcie?

— W imieniu pani zawarłem umowę, będzie pani płaciła dwadzieścia koron miesięcznie.

— To za tanio... pan żartuje...

Lerche był przygotowany na ten zarzut i wręczając spisana umowę, rzekł:

— Zechciej pani przeczytać.

— Chyba tylko ze względu na pana oddała fabryka tak tanio — mówiła po przeczytaniu.

— To już ich rzecz, nie moja. Zażądali, zapłać im i koniec.

— Zwrócę panu, tylko nie teraz — zarumieniła się.

— Dobrze... Kiedyż pani sprowadzi się tutaj?

— Nie wiem... chyba po przyjeździe mamy, bo gdzieś będę się stołowała?

— Ta sprawa już załatwiona — uśmiechnął się — ten domek murowany, widać go z werandy... najęła na lato moja daleka ciotka, bardzo poważna osoba, znająca się na kuchni... ona bardzo chętnie przyjmie panią na stół, zwłaszcza że choruje na oszczędność.

— A kiedy sprowadza się ta pani?

— Jutro w południe i zanim matka pani przyjedzie, może pani stołować się w tym murowanym domku.

— Bardzo chcę tu zamieszkać — mówiła nie-

pewnym głosem — ale mam pewne wątpliwości... zresztą namyśle się.

Lerche spostrzegł, że naleganie może pogorszyć sprawę, więc uśmiechnął się i rzekł:

— Termin zostawiam do woli pani, ale do namysłu daję trzy dni. Dziś napisze pani do domu, może pani da mnie list, odeślę dzisiaj, to będzie prędzej... a matka pani pojutrze może być tutaj.

— Prawda... jedźmy do domu, napiszę list i oddam panu.

Inspektor, siedząc w wagonie, wyjął list Janki, przypatrywał się adresowi, pismu i szczerze żałował, że nie umie odgadnąć z pisma charakteru i usposobienia piszącego. Lecząc po chwili uśmiechnął się. Po cóż odgadnąć, gdy on ją zna, jej charakter, usposobienie, ona przecież taka szczerą, prawdomówną, że całą jej duszę widać, jak dno w kryształowym źródle.

Ta matka Janki tylko na razie zaniepokoiła go, gdyż obawiał się, że ona swym zachowaniem, przyzwyczajeniami, sposobem mówienia popsuje mu tę atmosferę poetyczną i piękną, którą otoczył Jankę. Teraz już się uspokoił, w ten lub ów sposób zatrzyma matkę w mieście, a mała siostra, będzie czy nie będzie, to rzecz podrzędna.

Przyjechawszy do miasta, wprost z dworca kazał się zawieźć do znajomego, zarządzającego kilku kamienicami. Po krótkim targu załatwił sprawę. Trawecka, matka, dostanie rządcastwo jednego domu za mieszkanie i dziesięć koron miesięcznie.

— Ale natychmiast pan ją zawiadomi o posadzie administratorki — mówił na wychodnym.

— Dobrze, ale z jakiego tytułu?

— Hm... słyszał pan... powiedziano panu na kolei, bo ona jest wdową po nadkonduktorze... ale, ale, miejsce musi objąć od jutra i opuszczać miasto nie może.

— Już pan inspektor mówił mi o tem i pamiętam.

— Za godzinę sprawa będzie załatwiona, umowa podpisana i o mnie ani słowa. Dobrze?

— Może pan liczyć na mnie.

Zaledwie Trawecka ochłonęła z radości po otrzymaniu posady, o której marzyła od czasu propozycji Łuki, zjawił się woźny z dyrekcji, mówiąc po przywitaniu:

— Jeden z panów urzędników przywiózł list od pani kasyerki z Horyni, córki pani, i prosi o odpowiedź.

— Niechże pan siądzie — zapraszała Trawecka z odcieniem dumnego zadowolenia, że woźny dyrekcji przynosi list córki.

Odczytawszy list zawołała Marię i Klarcie i rzekła:

— Janka pisze, ażebyśmy pojechali do niej... nie rozumiem jej wcale. Wie, że chłopak w sklepie, ty praktykujesz Maniu, ja mam gospodarstwo na głowie, a teraz to i całą kamienicę, a ona prosi nas na świeże powietrze. Z czego żyć? co będzie? nie pyta wcale... Ty jedna Klarcie jedź do niej, a może w niedzielę pojedzie do niej Mania na jeden dzień.

— Szkoda! — westchnęła Mania, gdy uradowana Klarcia klaskała w dłonie i biegając po pokoju, wołała:

— Pojadę!... Na wieś!

— Jakąż odpowiedź daje pani? — spytał poważnie woźny.

— Alboż pan, nie słyszał?

— Muszę to mieć na piśmie... i kiedy pani wyśle tę małą? Najlepiej jutro o dziewiątej rano... mam znajomego konduktora, zaopiekuje się dzieckiem.

— Dziękuję panu, mam i ja znajomości... ale jutro nie mogę posłać Klarcie, trzeba wyprać to i owo.

— Jutro mam, jutro — zaczęła prosić i przypominać się Klarcie.

— Niech ją mama puści.

— Hm... co prawda bilet ma być gotowy... może i jutro.

— Poco te namysły — wtrącił się woźny — poco marynować dziecko w takie spieki miejskie?

— I to prawda — skinęła głową Trawecka, ocierając z czoła nieistniejący pot — Klarcie pojedzie jutro.

— No, a odpowiedź na list?

— Dam Klarcie, poco trudzić pana urzędnika.

zby i jak zwykle przyszła o godzinie ósmej, ażeby zmienić Osteckiego po jego nocnej służbie.

Po godzinie dziewiątej rano wszedł naczelnik w towarzystwie młodego jeszcze blondyna i rzekł do Janki bardzo uprzejmie:

— Z rozporządzenia dyrekcji dzisiaj rozpoczyna pani dwumiesięczny urlop... panu Zagajskiemu — wskazał na wprowadzonego urzędnika — ma pani oddać kasę.

Po skończonej czynności oddania kasy, Janka uczuła wielką wdzięczność dla Lerchego, że tak szybko załatwił sprawę urlopu, gdyż dziś, może pod wpływem rad i przestróg doktora, czuła się bardziej osłabioną i pożądała spoczynku. Zaledwie jednak ułożyła się na kanapce, ażeby wypocząć, posłyszala na kurytarzu hałas i silny stukot w drzwi wejściowe. Podniosła się niezadowolona z kanapki i gdy otworzyła drzwi, wpadła do kuchenki Klarcia, wołając:

— Przyjechałam do ciebie... mama nie może, została administratorką kamienicy, czy ty wiesz Janko!?

Ucałowała małą, ośmioletnią siostrzyczkę i upomniała:

— To brzydko Klarcie tak krzyczeć... co mówiłaś o mamie?

— Jest list do ciebie, tam w koszyku, i mama przysłała dla ciebie pierniki — wskazała na koszyk, który ustawiał posługacz.

— I ty sama przyjechałaś?

— O nie, było dużo pań i panów, a konduktor mnie pilnował, chociaż sama wiedziałam, że w Horyni mam wysiąść.

Janka odczytała list matki i była nim stropiona. Już wczoraj niemile ją dotknęła nadzwyczajna opieka inspektora, jazda powozem, najęcie mieszkania, niepokoiła się tą troskliwością, ale liczyła na przyjazd matki. Wprawdzie on mówił o swej ciotce, wspominał o przyjeździe jej matki, nie może mu więc zarzucić braku delikatności, ale mieszkać samej, z takim dzieckiem, zdala od ludzi...

Spojrzała na Klarcie, którą interesowały wszystkie przedmioty w pokoju i nieustannie mówiła:

— Jak u ciebie ładnie Janko... te meble kupiłaś?... Jaka śliczna lampa... A od kogo masz tę kanapkę?... I jakie łóżko piękne! O, ładniejsze, aniżeli u mamy!

Biegała z kąta w kąt, nic nie uszło jej uwagi, o wszystko się dopytywała.

Janka znużona odpowiadała z roztargnieniem i patrząc na Klarcie, myślała nie bez goryczy:

— Co zrobię z tą małą? Jak ją zabawię? Jak dopilnuję?

Wreszcie Klarcia, wyjrawszy przez okno, zawołała:

— Janko! Tam, na dole bawią się dzieci i ja pójdę, dobrze?

— Idź, ale baw się koło domu.

Po jej wyjściu znów opadły ją wątpliwości. Ten Lerche jest jednak za czuły, za troskliwy, jak na przyjaciela. Spełnia wszystko, czego ona zażąda, patrzy w jej oczy, spogląda na nią z takim nabożeństwem, czyżby on kochał ją istotnie? Chyba niemożliwe, przecież różnica wieku jest zbyt wielka. I co ona może mieć z nim wspólnego? On, człowiek dojrzały, urzędnik na wpływowym stanowisku, z przekonania burżuj i zaledwie pod jej wpływem zostaje „sympatykiem“, a ona, młoda manipulantka, uboga, z przekonania socjalistka. U niego jest to chwilowa sympatya, może nawet przyjaźń, ale nic więcej, bo niczem nie upoważniła go do mniemania, że mu się odwzajemni, co prawda i on niczego nie żądał od niej. I tak usilnie krytykowała i odrzucała myśl, że on działa pod wpływem zakochania się w niej, że wreszcie przyszła do zgody ze sobą i uznała, że u niego jest to co najwyżej upodobanie, ośmienie zmysłów, lecz wkrótce ochłonie i pozostanie sympatya wzajemna, która prawdopodobnie zamieni się w przyjaźń.

Upewniwszy się pod tym względem, postanowiła czekać dalszego rozwoju wypadków.

Wyjrzała oknem i zobaczyła Klarcie, bawiącą się wybornie z dziećmi mieszkańców kamienicy i pomyślała: — ale co ja zrobię z nią tam w lesie?...

W tej chwili zastukał ktoś do drzwi, i nie czekając na otwarcie, wszedł do kuchenki. Janka ujrzała w pokoju starszą kobietę, niemal siwą, dość dobrej tuszy, która oddychając głęboko usiadła na pierwszym spotkanem krześle i odpoczywała ze zmęczenia. Janka podeszła do niej, napróżno siląc się nad rozwiązaniem pytania, kto ona i czego chce.

Janka nie spodziewała się wcale ani tak szybkiego przyjazdu matki, ani też zwolnienia ze słu-